SCENA Z DRAMATU

PO RĘKAWCE.

OSOBY.

Stach } Parobcy z okolicy Krakowa.
Jonek }

Stach.

A witajże miły Jonku!
Toć myślałem żeś już zginął;
Twoja Basia we frasonku,
Mówiła żeś nogę zwinął,
Albo ześ za sprawą carta,
Do innéj zwrócił Jamory;
I ty tez bestya uparta,
Kieby cap z pańskiéj obory.—
Jak mozna przez trzy Niedziele,
Niepokazać się niewieście?
No — gadajze — jeno śmiele —
Coś tam wejcie widział w mieście.

Jonek (wzdycha).

E, daj spokój miły Stachu!
Bo jak rzeknęć co się dzieje,
Wnet zadygotas od strachu,
I dusa twa zaboleje.

Stach.

Bój się Boga! cóz takiego?
Ty wyglądas sfrasowany,
Jakby — Bożc strzez od złego!
Zmarł twój tatuś ukochany.

SCENA Z DRAMATU

PO RĘKAWCE.

(Dokończenie).

OSOBY.

Bartłomiej
Maciej
Basia
Jonek
Stach
Szymon
Wawrzeniec
} Parobcy.
Parobcy. Dziewki.

(Rzecz w chacie Bartłomieja).

(Bartłomiej siedzi po za stołem, Parobki i Dziewki w około niego Basia stoi na boku zamyślona, ogień się pali na kominie. Wieczór).

Bartłomiej (kończy opowiadanie).

Otóz to tak dzieci moje,
Za dawnych casów bywało;
Kazdy z nas spiesył na boje,
I walcył — póki sił stało;
Nie bacył ze wrogów chmara—
Bo Kościusko nam przywodził;
A kiéj krzyknął: — „naprzód wiara!“
Juze wróg z placu uchodził;
Dzielny tez to był cłek, dzielny!
Ten nas Kościusko nacelny!...

Szymon.

Co za skoda ze nie zyje!

Bartłomiej.

O! juz niemal lat trzydzieści,
Jak nas dosły o nim wieści,
Ze pomarł kajś — w Swajcaryje!

(do Basi).

Basiu! cóz tak stois zdala?
Zawdyś figlarna i skrzętna
Kieby wej wiślana fala;
A dziś osowiała — smętna —
Cóz bo rois we swéj głowie?
Cy cię to niebogo smuci,
Ze Jonek jesce w Krakowie?
Nie frasuj się; wróci — wróci.

Basia.

Niegniewajta się mój chrzesny;
Lec mam do was zal bolesny —
Wyście go wejcie wysłali,
By się o wsyćkiem przewiedział;
Jeśli go Miemcy schytali,
On będzie w hareście siedział;
Albo jesce — Święty Boze
Przycyń ze nam swéj opieki! —
Wezmą go w rekruta moze,
I zapędzą w świat daleki. — *(płacze).*

Bartłomiej (z trwogą).

Bój ze się Boga dziewcyno!
Odzeń złe myśli od siebie!
Wnet troski twoje przeminą,
Jonek powróci do Ciebie;
A jezeli, z Bozéj woli,
Ma go potkać plaga jaka;
Nie uchroni się złéj doli,

I nie ujdzie Ostryjaka!

Stach (wbiega).

Niech ze będzie pochwalony!

Bartłomiej.

Na wieki! a gdziez jest Jonek?

Basia.

Cy psez Miemców pochwycony?

Stach.

Gdzie zaś — wraca twój skowronek,
Wraca — juz jest za ogrodem,
Za chwilę go powitacie,
Dla tegom tez pobiegł przodem.

Basia.

Ja wybiegnę —

Stach.

zostań w chacie;
Jonek wej nie sam przychodzi;
Składniej byś go tu cekała,
Bo się to wejcie nie godzi,
Byś się przy drugim ściskała.

Szymon.

Kogóz on nam tu prowadzi?

Wawrzek.

Moze Miemieckiego śpiega?

Bartłomiej.

Być cierpliwym nie zawadzi.

Wawrzek.

Ciężko milceć kiej dolega;
I jeśliby w saméj rzecy,
Przylazło Miemcysko kuse;
Sam cart go nie zabezpiecy,
Kiej kota selmę udusę! —

Szymon.

Oj zeby to z Legrów który,
Przysedł tutaj— Jezu Chryste!
Juzby pewno swojéj skóry,
Nie wywlókł z dusą na cyste!
Spomniał bym przesłe lato;
Co za tytuniu pół packi,
Wziął mi chuścinę kraciatą;
I z rzemykiem zydek chwacki.

Stach.

Ot daremnie wej bajecie,
I prózno pięście ściskacie;
Juz wam powiem kiedy chcecie,
Ze Macieja powitacie.
Zafrasowany o syna,
Sedł ku miastu starowina;
I napotkał go w pół drogi.
Ot, juz właśnie wchodzą w progi.

Jonek i Maciej (wchodzą).

Bartłomiej. (do Ojca).

A witajciez! *(do syna)* witaj bracie!
My tu o cię juz truchleli,

Jonek.

Bóg wam zapłać, jak się macie!
Opóźniłem ci się trochę;
Lec zebyście nie myśleli,
Ze przez jakie myśli płoche,
W mieście się bałamonciłem,
Wnet opowiem co robiłem;
Jeno wprzódy Bartłomieju,
Przywitam moją Basieckę.

(idzie do Basi).

Bartłomiej.

Siądźta se przy mnie Macieju!
Pogawędziwa trosecką. *(do Stacha).*
A ty Stachu co mas siły,
Biegaj do karcmy po piwo;
Jeno się uwijaj zywo! *(Stach odchodzi).*
Napijem się kumie miły!

Basia (z wyrzutem).

Zaś tak długo w mieście siedzieć,
O kęs zem nie osalała!

Jonek.

Toć Stach musiał ci powiedzieć,
Jaka mnie rzec zatrzymała.

Basia.

Kaj tam — w biegł tu jak salony,
I zbywał tylko figlami;
Zda się ze ten Stach casami,
Jakby w pałkę postrzelony.

Bartłomiej.

Teraz Jonku za stół siadaj,
I coś słysał — opowiadaj.

Jonek (siada).

Juz to wszyscy dobrze wicie,
Zem w Cwartek zara o świcie,
Wrócił znowu do Krakowa,
By się wywiedzieć wsyćkiego;
Com widział od casu tego,
Opowiem wam co do słowa.
Otóz zara w Cwartek z rana,
Była powieść ogłasana,
Ze Miemiec co wziął po skórze,
Posedł lezeć na Podgórze;

I wsyćkie rzekli Doktory,
Ze jest nie przespiecnie chory.
Innych zaś ze starsych rzędu,
Co nasi poturbowali,
Niemając zadnego względu,
Miemcy w Wisłę po wrzucali;
Widać się selmy wstydzili,
Ześmy ich duzo nabili.
Na miejsce zaś ranionego,
Obrali sobie drugiego;
Z trocha łagodniejsym pyskiem,
Ale z zydowskiem nazwiskiem;
Jaki on tam — niewiadomo;
Na pozór, lepsy w rzekomo —
Lec któz tam Miemca odgadnie;
Z razu kazdy z nich poćciwy,
Mówi z człekiem ślicnie — ładnie,
A w dusy.... kieby wąz mściwy.
Wreście jak nasi mówili,
To kusa z Miemcami sprawa;
Bo właśnie w téj saméj chwili,
Gdy była ta strasna wrzawa,
Z Widnia przysło pozwolenie,
Na gwardyi uzbrojenie,
I na wsyćko co prosili,
Otoz Miemcy łeb stracili.
Bo radziby figle płatać,
Hareśtować i uciskać;
A tu trza się z nami bratać,
Przyjaznić, kochać i ściskać.
I my tez nie bardzo raźni,
Do uścisków i przyjaźni,

Wolałbym wilcysko bure
Cmoknąć — nizeli Miemcurę.
Otóz ten jednorał nowy,
Nie wiedział jak rozkazować;
Radby wsyćkim zdejmać głowy,
Radby znowu bumbardować,
A tu kieby na przekorę,
Trzeba się udać w pokorę.
Więc po przylepiał kartecki,
Ze nie suka z nami sprzecki;
Ze miasta juz nie zapali,
Byle tylko wyjechali,
Wsyscy nasi — do Francyi,
Do Prus, albo Galicyi.
Co tez zaraz ucynili,
Wyjechało ich z połowę,
By miasta nie narazili,
Na jakie niescęście nowe.
A Miemcy nuz gospodarzyć,
W nasym odwiecnym Zamcysku,
W tém polskich królów siedlisku;
Poczęli się z Xięzmi swarzyć,
I nie myśląc ani chwili,
Wsyckich z zamku wypędzili,
Dla tego by nie spozierać,
Jak będą kościół obdzierać.

Bartłomiej.

Jakiez to bestye okrutne,
I srogie — i rezolutne.

(Stach wnosi duży dzban piwa — kubki — i nalewa wszystkim).

Jonek.

Ale zebyście widzieli,

Jak te selmy pogłupieli,
Kiedy o godzinie cwarty,
Przyśli pozaciągać warty!
Najprzód przez Grecką ulicę,
Śli jakby na subienicę;
Widać się psiwiary bali,
Byśmy do nich nie strzylali.
A kiej przyśli do Odwachu,
Aze pobledli od strachu;
Bo jeich orzeł zrzucony,
I na druzgi potłucony;
Oni se wejcie mówili,
Ze my im figla zrobili;
A to wej oni we Środę,
Sami se zrządzili skodę;
Bo jak wypuścili kulę,
Wprost do świętego Wojciecha,
To dwa słupki na kopule,
Na raz kula zrujnowała;
Lec potem, kiej kozła dała,
To to wej była uciecha!
Az nad Odwach wyskocyła,
I orła im rozstrzeliła.
Nareście po długiéj chwili,
Namyśliły się te zmory;
Jedni w Odwach powłazili,
Drudzy pośli w Kryśtofory—
Bo to u nich zwycaj taki,
Aby te miejsca zajmować,
Wysydzać, i symfonować,
Gdzie pierw rządzili Polaki.
Lec niech se tam wysydzają,

I tak nic nie pokurają.
Otóz przez noc caluteńką,
Miemcy seredą przebrzydłą,
Stali sobie cichuteńko,
Kieby pies co pozar mydło.
Aż nareszcie w Piątek rano,
Znowu w mieście obwołano,
Aby wsyćkie karabiny,
Co zostawiły Śwabiny,
Zmykając na zamek w strachu,
Po oddawać do Odwachu,
Przytém zeby piki nase,
Dubeltówki i pałase,
Takze tam poprzynosono,
Lec się osukali pono;
Bo nasa cała załoga,
Jeno wej minęła trwoga,
Zelazo se pozdejmała,
Im gołe drągi oddała;
Woleli sprzedać zydowi,
Niz je oddawać Miemcowi;
Miemcy też wpadli w passyją,
I nuz robić rewizyją.
Lec choć w kazdą dziurę wleźli,
Przecie broni nie znaleźli,
To się tez tak rozjątrzyli,
Ze po przedmieściach chodzili,
I kto sedł w capce cerwonéj,
Nuz przyskakiwać do onéj;
A najbardziéj Miemiec hardy,
Nie lubi polskiéj kukardy,
Kiej ją kaj tylko zobacy,

Zaraz z miemiecka sobacy;
„A der flukter— rebeloki,
Wy Sakramenckie Poloki“—
I nuz czapkę z głowy zdzierać,
Nuz ją tyrać— poniewirać,
To az wej dusa się ścina,
Ze człek w takich latach zyje,
Co lada bestya śwabina,
Dokazuje termedyje;
Kiej do nas który przychodzi,
To śwargoce— „bruder! bruder!“
Potem kradnie kieby złodziéj,
Lub zabija; selma pluder!
A jednemu skubantowi,
Co se lazł ku Kazmizowi,
Niewiedzieć za jaką winę,
Zdarł Miemiec z głowy capcynę;
I dlo tego ze cerwona,
Rzucił w wodę do pierona;
A to młode skubencisko,
Prawie z płacem bidacysko,
Nie mając się zalić komu,
Z gołym łbem posedł do domu.
Otóz to takie psiwiary,
Te miemieckie ciarapary!—
Jednemu tez zołnierzowi,
Co zdarł capkę chłopokowi,
Jeno drudzy obacyli,
Porządną frykę sprawili;
A było ich z ośmiu raków;
Dwunasto-letnich chłopaków;
Kiej przypadli do Miemcyska,
Ten za nogi— ten za syję,

Obalili go bestyję;
I nuz od razu do pyska,
Wytłukli, zponiewierali,
Potem kazdy w swoją stronę,
Co duchu pouciekali;
A Miemcysko potłucone,
Ledwie się podniosło z ziemi,
I posło skarzyć przed swemi;
Lec chłopaki co go zbili,
Za dziesiątą górą byli.

Szymon.

Niechze im się święcą dłonie!

Bartłomiej.

Nie przeskadzaj no Symonie,

Jonek.

Nasi znów jęli ogłasać,
By wsyćkich na pogrzeb sprasać,
Tych męcenników, biedoków,
Pozabijanych Poloków.
Jeno Miemcy usłyseli,
Wnet do kruchty przybiezeli,
I swych trupów wydobyli;
Bo i oni tez tam byli.
Znać ze się selmy lękali,
By ich kolengi po śmierci
Porąbani juz na ćwierci,
Do Poloków nie przystali,
My tez nie bardzo zmartwieni,
Ze se swoje męso wzieni,
Rzekliśmy: ze Miemcy głupie,
Nie potrzebnie ich zabrali;
Bo kiej juz lezeli w kupie,
I ich byśmy pochowali;
Ale kiedy juz bierzecie,
Cyńta se z niemi co chcecie;

Jak wam braknie wołowiny,
Naróbta se peklowiny.
Nasych zaś cysto obmyto,
W ślicne kosulki okryto,
Wsyćkie prawie nowiuteńkie,
Świezuteńkie, cieniuteńkie,
I buciki, karazyje,
Z pentlami pod samą syje,
Takie saty, powiem śmiele,
Radbym mieć na swe wesele;
Lec nie pora myśleć o tem,
Kiej kraj dręcony kłopotem,
Więc w Sobotę raniuteńko,
Zaraz od szóstej godziny,
Schodzono się cichuteńko,
Na załobne odwiedziny;
A kościół Panny Maryi,
Cały carno oblecono,
Zda się w téj ceremonii,
Wielki piątek ponowiono,
A na pośrodku kościoła,
Siedemnaście trunien stało.
Duze świeczniki do koła,
W nich jarzące światło tlało.
Zacęto się licniej schodzić,
Jedni się z cicha modlili,
Drudzy jęli się rozwodzić,
Ześmy kiepsko Miemców bili;
Bo za taki ich cyn srogi,
Winni wyginąć do nogi.
Jednak wyznać musę śmiele,
To mię najbardziéj zdziwiło;
Ze w katolickim kościele,
Zydów co nie miara było;
Z początku sobie myślałem,

Ze nas będą wysydzali;
Lec potém się przekonałem,
Ze prawie wsyscy płakali.
Widać ze zyd, choć nie wierzy,
W nasego Chrystusa Pana;
Na oślep za nami biezy,
Gdy Ojcyzna unękana.
Otóz ich postępkiem takiem,
Jam się jakoś rozmiłował;
Mośka nazwałem Polakiem,
I w brodem go pocałował.
W tém we dzwony zadzwonili,
Nabozeństwo rozpoczęli;
I zdało się ze w téj chwili,
Z nieba zstąpili Anieli;
Bo nie dosyć w organy,
Jak najślicniéj wygrywali;
Jesce i Panie i Pany,
Na chórze przyśpiwywali.
A wsyćko tak załośliwie,
Tak serdecno i rzewliwie,
Zem sam niewiedzieć dla cego,
Zbecał się do upadłego.
Jak się juz Msa ukończyła,
Wystąpiło Xięzy siła,
Jęli się w około kręcić,
I poczęli trunny święcić;
Gdy juz wsyćkie poświęcili,
Cały kościół otworzyli,
A ludzie w ogromnym tłoku,
Kieby wéj woda z potoku,
Z kościoła się wysypali,
I w gromadę się zebrali.
Było ich z dziesięć tysięcy,
A moze i trocha więcéj—

A Miemcy stojąc pod bronią,
Zębami od strachu dzwonią,
Bo wcora rozkaz wydali,
Byśma się nie zgromadzali;
Lec my przyśli braci chować,
Więc nas nie śmią napastować;
A niech by tylko pocęli,
Dopiero by łaźnią wzięli!
Ale oni się nas boją,
Więc cicho jak trusie stoją;
Wysły cechy z chorągwiami,
Xięzy chmara ze świecami;
A kapela wéj smutnego,
Gra Marsa pogrzebowego;
A przed samemi trunnami,
Idą dzieci z kwiateckami;
Skoro trunny wyniesiono,
Na ramiona pochwycono,
Kazdy chce dźwigać pierwsego,
Lec na prózno, nic tam z tego,
Jakieś Panie przyskocyły,
W koło trunnę otocyły,
I na ramiona bieluchne,
Pulchne i delikatniuchne,
Ciężką trunnę zakładają,
I do Cmentarza dźwigają.
Drugą — chłopi i panowie,
Nieśli z sobą po połowie.
Trzecią — Cudzie niesłychany!
Myślałem ze mnie co mami;
Dźwigają Dominikany,
Z kazimierskiemi zydami.
Wtencas ledwom nie osalał,
Patrząc na takie zjawienie;
I kazdy prawie wychwalał,

To zydoskie poświęcenie.
Cwartą trunnę, tez kobiety,
Niosły az do saméj mety;
Piątą, sóstą na przemiany,
To panowie, to miescany;
Lec reśty nie wspomnę sobie,
W jakim tam nieśli sposobie;
Bom sedł ciągle kaj kapela,
Więc nie mogłem widzieć wiela;
Lec co mi się spodobało,
I prześlicnie wyglądało;
Na trunnach świeze wianecki,
Ślicne cerwone capecki,
Carną siatką przewiązane,
Na znak ze ci co zginęli,
Za Ojcyznę ukochaną,
Wsyćką swoją krew przeleli.
Był tam i Jadam Nacelny,
I Jenerał starzec dzielny,
On się tez zgryzł niebozątko,
I płakał kieby dziciątko;
Była i Jadama zona,
I matka zacna Matrona,
Obie choć nie wielkiéj siły,
Jednak się nie poleniły,
I takze kawał nie mały,
Trunnę z drugiemi dźwigały.
Az niedaleko Cmentarza,
Nowe się zjawisko zdarza;
Pan Konopka Polak znany,
Dobrodusny i kochany,
By uczcić całą paradę,
Prowadzi chłopów gromadę;
Którzy się z nami witają,
Potem za trunny chwytają,

Prosząc byśma zezwolili,
Nieść ciała tych, co walcyli.
Na to rzeknie jaki taki,
„Toć i to dobre Polaki;
A kiej tak usilnie proszą,
Niech ze sobie ciała niosą;“
Oni tez wzięli z radością,
I ponieśli z poboznością.
Potém Xięza zaśpiwali,
Zmarłych braci pochowali,
Jak walcyli w jedném kole,
Tak spoczęli w jednym dole;
Jednak zadnemu z Cysarzy,
Taki się pogrzeb nie zdarzy;
Bo tam idą z powinności,
A tu wsyscy śli z miłości!
No — skończyłem moi mili.

Bartłomiej.

A Miemcy, co tez mówili?

Jonek:

A i cóz by mówić mieli?
Oni się rusyć nie śmieli;
Cichutko na boku stali,
Ślepie tylko wywalali;
Nawet przebzydłe Miemcyska,
Nie uchyliły capcyska,
Na tę nasą procesyję;
Zwyczajnie głupie bestyje!
Kazdy Miemiec lala droga,
Ni do ludzi, ni do Boga!

Kraków dnia 31 Maja 1848 r.

A. Ł.

Cena egzempl. gr. 20.— Dostać można w Handlu *E. Fuchsa.*